

Głowacki A. (Pruw) Ser
Jakóba.

Egz. archiwalny IDL
CZYTELNIA „POLAKA - KATOLIKA”.
XXXIII.

Bolesław Prus.

Sen Jakóba.

(Czy Żydzi wrócą do Palestyny)?

INSTYTUT

ADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

330 Warszawa, ul. Nowy

Tel. 26-68-63



LUBLIN.

Nakładem Księgarni Religijnej,

ul. Królewska nr. 10.

Skład główny w Księgarni i Kantorze „Polaka-Katol.” i „Posiewu”
w Warszawie, Krakowskie Przedmieście nr. 64, w Częstochowie,
ul. Panny Maryi nr. 37.

1907.

<http://rcin.org.pl>



22.716

Drukiem „Polaka-Katolika“ w Lublinie.

<http://rcin.org.pl>

Ciekawym typem do niedawnego czasu był mój osobisty przyjaciel, pan Jakób Kapton, obecnie młodzieniec bardzo elegancki, noszący londyńskie faworyty, paryskie rękawiczki, warszawskie kamasze, używający wyłącznie berlińskich mebli i głośno utrzymujący, na podstawie doświadczeń z płaskim zwierciadłem, że najpiękniejszych mężczyzn dostarcza światu—szczep semicki.

Nie możemy bliżej oznaczyć daty i miejsca urodzenia naszego bohatera, okoliczności te bowiem są głęboką tajemnicą. To tylko jest niezawodnem, że w czasie spisu wojskowego na rok pański 1869 Jakób rodził się w Pińczowie i miał lat siedemnaście, zaś na rok 1870 ujrzał światło dzienne w Kocku i liczył dwadzieścia sześć wiosen z górą.

Początkową edukację pobierał w domu ojca, właściciela sklepu galanteryjno-korzennego, w którym z przedmiotów galanteryjnych znajdowały się: trzy pudelka guzików, tuzin skórzanych pasków i dwie pary filcowych butów; z korzeni zaś: pół beczki śledzi i kilka pudów mąki.

Nusym Goldwaser, biedak, któremu żona raz na tydzień dawała koszerne mięso i rybę, a raz na rok około Bosaków robiła podarunek z bliźniąt, wykladał Jakóbowi arytmetykę na pieczonym grochu i historię ludu izraelskiego z książek hebrajskich, tytułowanych i oprawianych w Józefowie Ordynackim. Od szóstej rano aż do chwili, w której zgłodniały belfer zjadał wszystek groch i skutkiem tego dostawał boleści, Jakóbek wespół z kilku kolegami słuchał matematyki; resztę dnia zajmowała historia.

Te ostatnie lekcye odbywały się ze szczególnymi ceremoniami.

Przedewszystkiem nauczyciel zdejmował swój watowany żupan i poprawiał na głowie myckę, która zapewne skutkiem

wieloletniego sąsiedztwa z mózgiem Nusyma, okazywała bardzo wyraźne ślady skamieniałości. Następnie otwierał książki i ustawiał wzdłuż stołu swoich uczniów, zimą i latem ubranych tylko w długie koszule. Następnie dolny skraj każdej koszuli wsadzał za kołnierz, po której to operacyi grupa uczonych się bachurów nabierała podobieństwa do oddziału szkockiej piechoty podczas marszu odwrotnego.

Po tych dopiero przygotowaniach następował wykład wszelkiej mądrości tego świata, polegający na czytaniu placzliwym głosem Talmudu przez wszystkich uczniów razem.

Jeżeli który z nich nie dość donośnie krzyczał, nie dość szybko wymawiał, lub nie dość rzewnie lamentował, wówczas skamieniała krymka nauczycielska bardzo energicznie stykała się z najwybitniejszą stroną podkasanej osobistości ucznia.

Kilkanaście lat tej od rana do nocy trwającej edukacyi rozwinęły nie tyle ro-

zum, ile raczej fantazyę Jakóba, który z tabliczki mnożenia wiedział wprawdzie, że sześć razy sześć czyni złoty i groszy sześć, ale za to z literatury talmudycznej wyprowadził wniosek, że bądź co bądź, on i jego współwyznawcy powinni wrócić do Palestyny.

W opinii tej podtrzymywał go zarówno ojciec, któremu handel szedł tępo, jak i jedna z ciotek, właścicielka dwu starych kosztów, przeznaczonych do roznoszenia jabłek i pierników, jak wreszcie i sam nauczyciel Goldwaser, który prawdopodobnie sądził, że klimat ziemi obiecanej mniej od naszego sprzyja przychodzeniu na świat bliźniąt.

Wprawdzie Szaja Kalkulator, wuj Jakóba, pokpiwał sobie na gruby kamień z emigracyjnych zachcianek ubogiej rodziny, ale nikt na to nie zważał. Szaja bowiem miał często nawiedzany szynczek i dom własny, żył za pan brat ze szlachtą i bodaj czy nawet gdzieś w kącie nie trefił się kielbasą.

Całe życie niewątpliwie zeszloby Jakóbowi na czytaniu talmudu i rozmyślaniu o Palestynie (o której tylko wiedział, że leży za Warszawą), gdyby nie śmierć Moszka Kapłona ojca, który po szabasie uczuł mdłości w okolicach serca, połowę niedzieli przeleżał w łóżku za perkalową firanką, a od poniedziałku przepisał się na stałego mieszkańca cmentarza, gdzie mu nieutulona w żalu familia postawiła kamienny nagrobek w formie deski do prasowania bielizny, ozdobionej życiorysem zmarłego i wizerunkiem siedmioramionnego świecznika.

Po ukończeniu tej malej rodzinnej uroczystości podeszła matka Jakóba, Ruchla, przeniosła się do domu swego brata Szai, mistrz z Nusym został podrabinkiem, sklep sprzedano przez licytację na rzecz wierzycieli, a Moszka Kapłona wysłano do stryja, który w Warszawie handlował barchanem, prowadził dom na wielką stopę i w przekonaniu swoich krewnych uchodził za najznakomitszą potęgę finansową w świecie.

Trzy chałaty, z których jeden był prunelowy, a drugi jedwabny, dwa pasy, lissia czapka, kaszkiet i niski kapelusz z wołającym o pomstę do nieba rondem, para butów zapasowych, para kaftaników z przepisaną liczbą sznurków i parę rubli w kieszeni (nie licząc kilkunastu książek) — oto cały majątek, który razem z Jakóblem płacząca Ruchla powierzała Lajbusiowi, odwożącemu do Warszawy gęsi. Ten Lajbuś znał barchaniastego stryja i miał zamiar bardzo skutecznie poprotegować osieroczonego synowca; na wyjeździe ułożył nawet stosowną mówkę; w drodze popędzając biczem ślepią szkapinę, rozszerzył ją i znacznie ozdobił, lecz już na Pradze stracił rezon, a na progu mieszkania bogatego kupca zapomniał nawet języka w gębie.

Wydobyto z niego zaledwie tyle, że stary Kapłon (aj waj!) przeniósł się już do ojców, i że ten mizerny, ze świderkowatemi pejsami młodzieniec jest młodym Kapłonkiem, którego on, furman Lajbuś, przywiózł zdrowym i całym pod opiekę

jasnemu stryjowi na dokończenie edukacji.

Z otwartemi rękoma jasny stryj i jasna stryjenka i jasne rodzeństwo stryjeczne przyjęli sierotę. Lajbuś zjadł przed kuchnią obiad (ugotowany podobno przez chrześcijańską kucharkę), dostał dwa złote za odstawienie „panicza“ i zawiózł jeszcze Ruchli piętnaście rubli, oraz pieczonego indyka. Jakóbek zaś... Ale to strasznie długa historia!

Naprzód bowiem stryjeczna siostra „Zosza“, dziewiętnastoletni aniołek z dyabelskimi oczyma, obcięła mu starannie dotąd pielęgnowane pejsy, które, według jej słów, zgubiły królewicza Absalona. Potem stryjeczny brat „Władzo“ przemocą zdart z niego prawowierny garnitur, nie wyłączając kaftanika i gwałtem przyodziął go w krótkie i wąskie szlacheckie ubranie.

Potem stryjenka Izydorowa dostała spazmów, dowiedziawszy się, że Jakóbek ani czytać, ani pisać nie umie, skutkiem tego stryj Izydor zgodził mu nauczyciela z

uniwersytetu za dwa ruble na miesiąc i rozkazał zaraz na drugi dzień lekcye rozpocząć, a na trzeci maszerować do sklepu i obeznawać się ze sztuką sprzedawania barchanu.

Wszystkim tym reformom z pokorą poddał się Jakóbek, nie mogąc tylko przystać na dwa poglądy „Władza“ pierwszy z nich stosował się do jedzenia pewnego czerwonego mięsa z musztardą lub chrzaniem, drugi zaś polegał na wywyższaniu jakiegoś księcia Bismarka nad cesarza Napoleona, którego nasz Jakób z porcelanowej fajki nieboszczyka Moszka znał osobiście i cenił nader wysoko.

Ponieważ oprócz dwóch tych nieskończenie drobnych przykrości życie w domu stryja schodziło Jakóbowi jak po mydle, dziwiono się więc, i nie bez racyi, że młodzieniec mizerniał i smutniał coraz bardziej. Jeszcze z nauką, osobliwie też reguły procentów pojedynczej i złożonej, szło jako tako; ale za to z siedzeniem w sklepie, ale z towarzystwem młodzieży te-

go co on wieku, nasz Jakóbek żadną miarą pogodzić się nie mógł.

— Co tobie jest, ty Jakóbek?— pytał nieraz stryj Izydor.

— Co mnie ma być?... Nic mnie nie jest—stale odpowiadał synowiec.

— Jakóbek... Jakóbek!—mówił pewnego dnia „Władzo:”—ja tobie co powiem: ty mnie jesteś taki jakisz rozmelachowany, że jabym ciebie wziął do Tivoli, na kankana... Ty pójdziesz?

— Nie!

— Jego tak smutno z naukowoszczi— objaśniała „Zosza“. — Spitaj go, Władzu może on chce do uniwersytet?...

Jakóbek zamyślił się i po chwili odparł:

— Jabym... jabym chciał wrócić...

— Do Kocka?...

— Nie... Do Jerozolimy!

Słowa te, jak błyskawica, oświeciły słuchaczów.

Teraz dopiero przypominano sobie, że Jakóbek bardzo często Warszawę nazy-

wał Babilonem, siebie Danielem, a lokal swego stryja dworem Nabuchodonozora. Teraz przypomniano sobie, że tenże sam Jakóbek propagował między chłopcami sklepowymi ideę wyjazdu do Jerozolimy i wypędzenia z niej Turków, o których istnieniu dowiedział się dopiero w ostatnich czasach. Teraz także zrozumiano, dlaczego Jakób tak gorliwie bronił sławy pewnego kasyera, który, zabrawszy pieniądze, drapnął do Ameryki; wiedzano bowiem, że w umyśle młodego entuzjasty, Palestyna, Ameryka i wszystkie inne części świata, nie wyłączając Paryża i Hiszpanii, tworzyły pewien rodzaj bigosu. Krótko mówiąc, teraz dopiero uznano w Jakóbie propagatora, może być, że nie praktycznej, lecz w każdym razie bardzo wzniosłej idei.

Sława przyjaciela naszego szybko zaczęła wzrastać. Naprzód, sklepowi chłopcy od siódmej rano do dziesiątej w wieczór słuchali jego teorii, co bardzo zaniepokoiło najstarszego subjekta, który ośliczył, że od czasu agitacji Jakóba do-

chód dzienny zmniejszył się o kilka rubli. Następnie bardzo wiele osób płci obojej poczęło się zgromadzać w porze wieczornej do lokalu barchanowego kupca, dla nasycenia się wykładami jego synowca, co znowu w jakiś szczególny sposób wpłynęło na podniesienie ruchu kuchennego i zwiększenie w tym kierunku wydatków. Wreszcie, jak grzmot po błysku, gruchnęła w całym tem zebraniu wieść, że Jakób od teoryi postanowił przejść do czynów, że wkrótce najniezawodniej wyruszy przeciw turkom i że na ten cel odłożył już sześć rubli z pensyi, przeznaczonej mu przez stryja.

Aż dotychczas stryj Izydor zachowywał się bardzo spokojnie, lecz gdy mu nosiwoda potłukł konewki, chłopcy po całych nocach hulali po mieście, a sługi po całych dniach naradzały się—wszystko na rachunek rychłego wyjścia do Palestyny, gdy mu wreszcie najstarszy subjekt (skończony farmazon) podszeptał, że całe to towarzystwo na jego koszt myśli odprawić wędrowkę,—wówczas stryj Izydor po-

stanowił wyrzec się pozycyi biernej i rozsądnie pogadać z Jakóbkiem.

Gadanie to trwało bardzo niedługo. Stary kupiec jasno a dobitnie wytłómaczył Jakóbowi, że ani on sam, ani jego rodzina wyjeżdżać z Warszawy nie myślą; że pieniądze, jakie ma, zebrał dla siebie i swoich blizkich, nie zaś dla urwisów, którzy chcą się na niepewne hazardy z turkami puszczać; że wreszcie (co było najważniejsze), pragnie, ażeby Jakóbek porzucił propagandę, a wziął się do barchanu i łokcia. Tydzień czasu miał namyślać się agitator nad ostatnim projektem stryja, a po upływie tego terminu obowiązany był albo wrócić za kontuar, albo do Kocka.

Do Kocka!... Wyraz ten tak niemile zrobił na Jakóbkę wrażenie, jakby mu ktoś kończatem, wyostrzonym, rozpalonem szkłem po sercu zajechał. Nie dziw więc, że umilkł jak ryba, i zamyślony, ze zwieszoną głową odszedł do swej sypialni.

Tu oszołomiony, rozgorączkowany, rzucił się w ubraniu na łóżko i twardo zasnął.

Zasnąwszy, miał widzenie, zaiste pro-
roczne, treści następującej:

Był to sobie niby targ, niby plac, a ni-
by rynek z domami dookoła, z ratuszem i
wieżą czarną i z drewnianą chorągiewką,
rychtyg jak w Kocku.

Na tym rynku, co był taki wielki, jak
cały świat, stała moc ludu żydowskiego i
stół okryty obrusem; a na tym stole, okry-
tym obrusem, bez mała co mniejszym od
ratuszowej wieży, stał on sam, Jakób Ka-
płon, syn starego Moszka Kapłona i Ruchl
z Kalkulatorów, w swojej własnej osobie.

Jak on tam stał, więc z początku nie
wiedział, co robić, ale zaraz potem coś
go piknęło, i jak wziął gadać, jak wziął
gadać... to gadał i gadał przez trzy dni i
trzy noce bez ustanku. Co on tam gadał,
o tem nikt, ani on sam nie wiedział, ale
gadał z takim sensem i z takim wyrazem,

że już w końcu nikt nie słuchał, tylko wszyscy wołali: aj! waj!

Jak on skończył swoje gadanie, to zaraz po niego zajechał Lajbuś parokonnym wózkiem, zaprzęgniętym w jednego konia, co był ślepy tylko na lewe oko i szedł z prawej strony dyszla. Wnet Nusym i sam rabin i kilku najporządniejszych kupców z miasta wysłali mu pierzynami siedzenie i posadzili go na niem tak, że aż mu się dobrze zrobiło.

A kiedy rabin przez uszanowanie usiadł na prawej krawędzi, a Nusym na lewej krawędzi, a najporządniejsi kupcowie na przodzie, i kiedy Lajbuś krzyknął na konia: „Wiu! ty bestya!“—wtedy reszta ludu z wielkim hałasem poczęła też wsiadać w zakryte i odkryte bryki, co ich było z jakie tysiąc tysięcy.

Wtedy on bardzo się zamyslił: co to jest?... Ale że sam nic wymyślić nie potrafił, więc tknęło go coś, żeby się zapytać: „Dokąd my wszyscy jedziemy?“ A kiedy się tak spytał, to wnet bryka stanęła, i rabin powiedział mu:

— Wszyscy, jak tu jesteśmy, jedziemy do Palestyny.

A Nusym dołożył:

— Tam, gdzie się manna sama rodzi, a groch sam się piecze.

I znowu bryka pojechała.

Wtedy Jakób spytał:

— A jak będzie z turkami?—i zrobiło mu się bardzo zimno.

A rabin odpowiedział:

— Jakóbek! w tem już twoja głowa i twojego wojska—a wtedy zrobiło mu się bardzo słabo.

I spojrzął przed siebie i zobaczył drogę taką długą, że końca jej nie było widać; a kiedy spojrzął za siebie, to zobaczył z jakie tysiąc tysięcy furmanek odkrytych i zakrytych i tyle wojska, jak piasku w morzu. Tymi, co szli piechotą, komenderował Szloma Abramson, który był cyrulikiem w prawdziwej piechocie; a tymi, co jechali wierzchem, komenderował Josesk Goldcygier, co sam był na poczcie i miał brata trębaczem u huzarów. Całe

wojsko wyglądało bardzo porządnie, tylko że w kawaleryi nie mieli dość inwentarza, więc jedni po dwóch i po trzech jechali na koniach, inni na krowach, a inni na kijach i miotłach—jak można.

Wędrowali tedy i wędrowali straszny kawał czasu, popasając niekiedy, zabierając nowych pasażerów i pytając chłopów o drogę; aż wreszcie przywędrowali do kraju suchego i górzystego, gdzie nie było ani miast, ani wsi, ani zbóż, ani lasów, tylko same osty i zielska kolczaste.

Wtedy Lajbuś spytał Nusyma, a Nusym rabina, a rabin Jakóba: „Co my tu będziemy robić?...” Ale Jakób nie odpowiedział nic, tylko przymknął oczy, zasłonił się liśnią czapką od skwaru, i udał, że śpi.

Gdy tak sobie udawał, poczęła się zwa-da i wrzask między wozami, bo nie wszyscy umieli po hebrajsku, a ci, co jechali na przodzie, nie mogli porozumieć się z tymi, co jechali we środku, ani z tymi, co jechali w tyle.

Zaraz potem zaczął się drugi wrzask, bo chałaciarze wymyślali surdutowym od kacerzy i gojów, a surdutowi chałatowym od łapserdaków.

A gdy jeszcze tamte dwa wrzaski nie ucichły, powstał trzeci, trzeci jeszcze większy. Wtedy zbudzono Jakóba i poczęto go prosić, aby radził, sądził i głową kręcił, bo brakuje chleba.

Wziął się więc Jakób do radzenia, sądzenia i głową kręcenia, ale jakoś nic wykręcić nie mógł, i dopiero Lajbuś wyretował go z kłopotu, podszeptawszy, iż dlatego niema chleba, że nie było dotychczas żadnego targu, ani żadnych interesów.

W oka mgnieniu zatem zrobiono targ. Ten wydobył z bryki płótno, ów sukno, inny nici i tasiemki, a jeszcze inny stare meble i stare żelastwo. Wszyscy wołali: „Handel! handel!“ wszyscy dzień i noc wystawiali przed sklepami, — ale handlu nie było.

Wówczas rabin zaproponował, żeby zrobiono spis ludności; co gdy po wielu ceregielach doszło do skutku, okazało się, że w zgromadzeniu są kupcy, felczerzy, kotlarze, furmani, tragarze, blacharze i nosiwody, ale niema chłopów i szlachty, niema więc komu pić wódki, pożyczać pieniędzy, a nadewszystko żyta, kartofli i cieląt przywozić na targ.

Wtedy powstał gwałt, jakiego nie słyszano dotychczas na świecie. Jedni radzili sprowadzić chłopów i szlachtę, drudzy wracać do nich, a wszyscy klęli, płakali i cisnęli się do wozu Jakóba, wołając, że ich oszukał i zgubił, i że mu tego nie darują.

Zrobiła się straszna chryja.

Dokola furmanki tłoczyli się mężczyźni i kobiety z twarzami pałającymi i zaciśniętymi pięściami. Jakiś gałgan zdarł Jakóbowi lisią czapkę, inny ćwiknął go batem po uszach, jeszcze inny rozbił mu donicę na głowie... Był to dopiero wstęp, po którym rozległ się złowrogi okrzyk:

— Ukamienować go!...

Jakób padł na pierzyny i, wstrzymując

dech, oczekiwał śmierci. Przez wpeł przy-
mknięte powieki widział, jak nad nim
wznoszą się kije, garnki, stolki, kołyski, a
nawet skrzynki i szafy, słyszał okropny
wrzask i klątwy, i czuł, że najwyżej za
ćwierć sekundy z niego, Jakóba Kapłona,
który mógł zostać spokojnym handlarzem
barchanu i uczciwym ojcem rodziny, zro-
bi się wprawdzie surowy, lecz doskonale
ubity kotlet...

Nagle wszystko ucichło... Narzędzia
śmierci razem z podtrzymującymi je ręka-
mi opadły; tłum, otaczający wóz, począł
się cofać z początku zwolna, potem prę-
dziej, potem jeszcze prędzej, a w końcu
tak szybko, że samego Jakóba opanowała
nieprzeparta chęć do ucieczki...

Co to jest?

Jakób podniósł głowę i począł oglądać
się dokoła. Spojrzał na prawo i dostrzegł
w tumanach kurzu kilka gwałtownie umy-
kających furmanek, spojrział na lewo—to
samo. Spojrzał przed siebie i zobaczył
resztki tłumy, pierzchającego piechotą;
spojrzał za siebie...

Podobne niebo, tu i owdzie zarzucone białymi chmurkami; na widnokręgu rysujący się mały wzgórek, za który kryje się słońce. Jakób patrzy, przeciera oczy i widzi, jak kolejno wydobywają się z za góry:

Naprzód trzy ostro zakończone tyczki...

Potem trzy baranie czapki...

Potem sześć wiązek siana...

Potem trzy głowy końskie, ozdobione konopiasdami grzywami...

Potem...

Jakóbowi poczyna samotność niesłychanie ciężać—zeskakuje więc z wozu i cwałuje tak, że wiatr nie może go dopędzić...

.....

Na drugi dzień przyjaciel nasz zbudził się przed szóstą, dziękując Bogu, że zamiast obszernych widnokręgów spotyka tylko ściany szczupłej swojej sypialni w domu stryja.

Spojrzał w lustro i po raz pierwszy zauważył, że surdut jego jest nieco przy-

długi; z razu chciał go skrócić, zamyśliwszy się jednak, przestał na dokładnem wystrzyżeniu na obu skroniach włosów, które wydały mu się nazbyt wystającymi.

Cały dzień biegał po sklepie jak fryga, a gdy przyszło mierzyć barchan, na każdym lokciu odejmował po ćwierci cala, co aż ściągnęło nań niezadowolenie starszego subiekta.

Od tej pory nie wspominał nigdy o wyjeździe do Palestyny, wieczorami zaś, zamiast uciekać do sypialni i szperać w książkach, jak najdłużej przesiadywał w salonie i pilnie przypatrywał się „Zoszy“, która miała bardzo piękny biust.

K O N I E C .



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PA
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

Czytelnia „Polaka-Katolika” .

1. Unia Lubelska — 1 zloty.
2. Wojciech Bartos Głowacki. 15 groszy.
3. Alboż chlebowdawca to wróg? — 6 groszy.
4. Jestem socyalistą! — 10 groszy.
5. Królową Korony Polskiej — 20 groszy.
6. Żywot Św. Jozefata Kuncewicza — 10 gr.
7. Jak Antek Cwaniak z socyalisty został narodowcem — 15 groszy.
8. Piotr Skarga — 10 groszy.
9. Historia Polski — 10 groszy.
10. Gawęda Tomasza Ptaka o Macierzy' 10 groszy.
11. Żywot bł. Andrzeja Boholi — 6 groszy.
12. Żywot bł. Adelajdy — 6 groszy.
13. Obrońca Jasnej Góry (Ks. Kordecki) — 10 gr.
14. Żywot Św. Wojciecha, męczennika — 6 gr.
15. Historia o szewcu Janie Kilińskim — 10 gr.
16. Nasz Ojciec Św. Pius X-ty — 15 gr.
17. Żywot i męczeństwo 5 braci Polaków — 6 gr.
18. Żywot św. Wincentego Kadłubka — 6 gr.
19. Żywot Św. Stanisława, Biskupa — 6 gr.
20. Żywot Św. Kunegundy (Kingi) — 6 gr.
21. Żywot Św. Kazimierza Królewicza — 6 gr.
22. Żywot bł. Bronisławy, Norbertanki — 6 gr.
23. Żywot Św. Jacka Odrowąża — 6 groszy.
24. Żywot Św. Jana Kantego, Wyznawcy — 6 gr.
25. Co stary Grzegorz mówił o bajkach, a co o kłamstwie — 10 gr.
26. Żywot bł. Jolanty — 6 gr.
27. „ św. Jana z Dukli — 6 gr.
28. „ bł. Salomei — 6 gr.
29. „ bł. Szymona — 6 gr.
30. Tadeusz Kościuszko — 15 gr.
31. Pod czerwonym sztandarem — 15 gr.

Skład główny wymienionych wydawnictw mają: w *Lublinie*, Księgarnia Religijna, ul. Królewska № 10 i w *Warszawie*, Księgarnia i Kantor „Polaka-Katolika“, „Posiewu“ i „Dobrej Służacej“, na Krakowskiem Przedmieściu № 64 w *Częstochowie* ul. Panny Maryi № 57

F

22.716